№ 47.

Warszawa, dnia 23 Listopada 1861 roku. 11/23 Listopada

MAGAZYN MÓD

DRZ I MINHEIMERA.

NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

Cena. *w Warszawie rocznie* rs. 6. *Półrocznie* Rs. 3. *Kwartalnie* Rs. 1 k. 50. *Na prowincyi rocznie* rs. 7 k. 20, *półrocznie* rs. 3 k. 75. W *Cesarstwie* i *Królestwie*, z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* Rs. 9 k. 20; *półrocznie* rs. 4 k. 75.
Prenumerować można w Redakcyi przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych; w Księgarni P. W. Zacharkiewicza w Mohylewie nad Dnieprem i we wszystkich Księgarniach w kraju i za granicą. **Wszelkie doniesienia przyjmują się na takich samych warunkach, jak w innych pismach perjodycznych warszawskich.**

JEDEN DZIEŃ W KRAKOWIE

PRZEZ

S. Grzymałę.

(Dokończenie.).

— Pan Tomecki należy do jednéj z najpierwszych rodzin byłego okręgu krakowskiego, i jest spokrewniony z najznakomitszemi domami polskiemi. Jest to człowiek zacny i pięknego charakteru, to téż używa powszechnego szacunku; bił się za młodu dobrze, dosłużył się stopnia pułkownika, a ręka jego wodza ozdobiła go krzyżem *Virtuti militari*. Szkoda tylko, że blask tych pięknych przymiotów zaćmił starym grzeszkiem, który się już dzięki Bogu zaciera zwolna pomiędzy nami. Była-to duma rodowa, która pomimo naturalnéj dobroci serca, była w Tomeckim tak zakorzenioną, że łączył się tylko z magnatami, a do szlacheckiego dworka nigdy nie zaglądał. Stosownie do tych zasad ożenił się z hrabianką K..., która we wszystkiém podzielała zdanie męża. Bóg im dał dwoje dzieci, syna i młodszą o lat parę córkę. Syn Zygmunt był dzielnym chłopcem; znałem go dobrze, bo razem z nim do szkół chodziłem. Kochaliśmy go wszyscy, posiadał bowiem wszystkie przymioty ojca, wyjąwszy jego arystokratycznych zasad. Zygmunt poszedł za duchem czasu: dla niego pan, czy szaraczkowy szlachcic, kupiec, kancelista a nawet prosty rzemieślnik i chłopek, wszystko to byli bracia, z wszystkiemi przestawał zarówno, bogatszych dzieląc radą i nauką, uboższych wsparciem i pomocą. Ojcu to było markotno, ale nic nie mówił, bo nad życie kochał swego jedynaka, dopiero gdy się dowiedział, dokąd to wszystko zmierzało, szarpnął tylko wąsa i zawołał:

„Niedaleko mocium pada jabłko od jabłoni.“

Tymczasem córka panna Michalina, czyli Mińcia, jak ją tam rodzice z wielkich pieszczot nazywali, podrosła, a że pułkownikostwo nie chcieli oddać ją na pensją, sprowadzili dla niéj nauczycielkę z Paryża, ze znanego instytutu dobroczynnéj Księżnéj, któréj imię jest błogosławione przez wszystkich Polaków we Francji. Ta guwernantka nazywała się panna Wanda Ulewicz; była to młoda osoba, tak piękna i do rzeczy, jak drugiéj może nigdy w życiu nie spotkałem. Co ją szczególniéj zdobiło, to niesłychana żywość i wesołość; uśmiech igrał ciągle na jéj różanych usteczkach, śliczny rumieniec zdobił jéj białą twarzyczkę, a oczy błyszczały jak iskry, które, zdawało się czasem, że cię spalą spojrzeniem, tyle tam było życia i czucia. Chociaż dziewiętnaście lat miała, wydawała się je-

szcze dużo młodszą z powodu dziecinnéj prawie wesołości. Śmiech jéj dźwięczny jak dzwonek loretański, odzywał się co chwila i jak dzwoneczek Matki Boskiéj wywierał ten magnetyczny wpływ, że spędzał chmury, nudy i złe chumory z czoła obecnych. Dziwna rzecz! a było to przecież dziecię niedoli i smutku, i od kolebki ciężkie było jéj życie sieroce. Matka odumarła ją maleńką, ojciec stary wojak, okryty bliznami i krzyżami, musiał jednak tułać się po obcéj ziemi, a opuszczając na wieki swoją jedynaczkę, nie mógł zapewnić jéj niezależnego kawałka chleba. Ale Wanda była to odważna i silna ufnością w Bogu istota, i nie tak łatwo upadła na duchu. Wzięła się do pracy i walczyła zacięcie ze złym swoim losem. Wszystkie materjalne cierpienia umiała znieść z uśmiechem; a na serdeczne bóle znajdowała ulgę w płaczu i modlitwie, które, jak wiemy, są jedyną ucieczką kobiety. Wykąpawszy swe piękne oczy w strumieniach łez, obcierała je, i znowu błyszczały wesoło jak niebo pogodne, a swobodny uśmiech powracał na jéj lica.

Przybycie Wandy, jak jasny promień słońca, ożywiło cały dom pułkownikostwa. Mała jéj wychowanka przywiązała się do niéj całą duszą, tak umiała ułatwić jéj godziny nauki; bo téż jeżeli podczas lekcji p. Ulewicz była poważną i gorliwą nauczycielką, to w czasie rekreacji stawała się wesołą i pustą towarzyszką młodéj dziewczynki. I ktoby je był widział tak razem biegające na wyścigi po zielonym trawniku, goniące za motylem lub robaczkiem świętojańskim, albo zimą suwające na łyżwach po ogromnym stawie, lub w pokoju grające zgrabnie w wolania, byłby sądził, że to dwie siostrzyczki, równie swobodne i szczęśliwe. Bo téż Mińcia rodzonéj siostry nie mogła była kochać bardziéj, a pułkownikostwo nazywali ją często swoją przybraną córeczką; bo i któż mógł być obojętnym dla téj ponętnéj dziewczyny? Była tak serdeczną, piękną i poetyczną.

Po dwóch latach, szczęście téj rodziny zostało uzupełnione powrotem z Kufsteinu ukochanego syna Zygmunta, przedmiotu tylu łez matczynych, tylu niepokojów ojca; Zygmunta, który na swém zbladłém czole nosił niestarte piętno poświęcenia i pokuty. Ile tam było uścisków, pytań i radości, łatwo sobie wystawić....! ale cóż, podobno nie ma trwałego szczęścia na tym świecie.

Domyślicie się łatwo, że takie istoty jak Zygmunt i Wanda nie mogły pozostać obcemi dla siebie. Oboje byli wyłącznemi, wyższemi, lepszemi stworzeniami, które napotkawszy się wśród złości i małostek tego świata, poczuły się, poznały i przystały na wieki do siebie. Ja myślę, że dusze ich były tam w niebie stworzone jedną duszą przez rękę Przedwiecznego, i że podług mniemania owéj legendy arabskiéj, Bóg rzucając ją na ziemię, rozdarł ją na dwoje, aby te dwie połówki szukały się i tęskniły za sobą. Zygmunt i Wanda znaleźli się; cóż więc dziwnego, że się zrozumieli i już się rozstać nie mogli. Nie będę opisywał téj miłości, jest to rzecz za święta, aby ją, podług słów mistrza naszych poetów, „rozdrabniać na słowa.“ Miłość ta zaczęła się od pierwszego spojrzenia: była silną jak wiara, ufną jak modlitwa, piękną jak wiosenny poranek, a czystą jak karpacka krynica. Taka miłość musi być jedną i wieczną jak prawda. Spokojni, ufni, uśmiechający szli oni naprzód, nie oglądając się na przyszłość, patrząc w lazur swego nieba; ale z tego nieba wyszedł wkrótce grom straszny. Piorun ten, był to gniew pułkownika. Stary arystokrata nie przypuszczał nawet, aby jego syn, krew jego i spadkobierca nazwiska miał się zapomnieć do takiego stopnia, żeby się zakochać w córce człowieka niebędącego nawet szlachcicem, i która do tego zostawała w stopniu płatnéj nauczycielki u jego córki. Gdy się naraz dowiedział o tém, w pierwszéj chwili nie był w stanie pohamować swego oburzenia i zapomniał się do takiego stopnia, iż lżąc biedną dziewczynę, zagroził synowi przekleństwem, gdyby kiedykolwiek poślubił p. Ulewicz. Nieszczęśliwy młodzieniec włóczył się od kolan ojca do nóg matki, która jak zawsze tak i teraz zdanie męża zupełnie podzielała, i błagał o odwrócenie tego wyroku. Mińcia zalana łzami wstawiała się usilnie za bratem, prosząc o przebaczenie dla niego. Ale pułkownik był niewzruszony. Znajdowałem się tam właśnie przypadkiem, i ta straszna scena nie wyjdzie mi nigdy z pamięci. Groźny głos ojca, napominające słowa matki, błagania Zygmunta, łzy Mińci, tworzyły obraz zdolny poruszyć najtwardsze serce. Jedna tylko osoba wśród tego wszystkiego zachowała spokój, godność i zimną krew. Była to Wanda. Ta stanowcza chwila przeobraziła nagle młode, wesołe dziewczę w dojrzałą i poważną kobietę. Duma córy polskiego żołnierza odezwała się nagle w jéj łonie. Uciekła do swego pokoju, aby ukryć łzy cisnące się do oka, a może i jęk żalu wydobywający się z piersi... I gdy za parę godzin zaczęto się pytać, gdzie się panna Ulewicz podziała, dowiedziano się, że wyjechała, i garderobiana przyniosła z jéj pokoju list, zawierający pożegnanie do pułkownikostwa i wyrzeczenie się na zawsze Zygmunta, którego, jak pisała, „nie zostanie nigdy żoną, przeciw woli jego rodziców.“

Wanda udała się do Warszawy, gdzie podobno zaraz jakieś miejsce dostała, a pułkownik ode-

tchnął, myśląc że już wszystko skończone, że Zygmunt prędko swojéj Wandy zapomni. Ale takie serce jak jego, zapomniéć nie mogło. Wprawdzie mało się zmienił: mówił, chodził, polował, a nawet śmiał się jak przedtém, ale coraz większa bladość rozpościerała się na jego twarzy, coraz mocniejszy kaszel męczył jego piersi i po nocach wcale sypiać nie mógł, ale całe godziny spędzał chodząc po ogrodzie, albo przy biurku pisząc. I wierzcie mi panie, że teka jego zawiera skarby, któreby były ozdobą naszéj literatury, gdyby uprzedzenia rodziny pozwoliły ogłosić je drukiem.

Tymczasem choroba postępowała nieznacznym ale pewnym krokiem, a państwo Tomeccy nie zważali jakoś na to, bo im się zdawało, że to tylko chwilowy stan, który wkrótce przejdzie; ale gdy biedna matka spostrzegła pierwszy raz chustkę syna krwią zbroczoną, przerażono się bardzo, zwołano lekarzy, i stosując się do ich rad, pojechano do Szczawnicy. Lecz już było za późno. Przybywszy tam, Zygmunt zapadł mocniéj, i w kilka dni zgasł spokojnie i lekko, jak piękny meteor, co znika z krańców nieba.

Zaledwo zwłoki jego przysypano ziemią, gdy nieszczęśliwa pułkownikowa, w któréj tylko miłość macierzyńska utrzymywała siły, dopóki potrzebną była swemu jedynakowi, padła na łóżko i straszna choroba rozwinęła się w niéj gwałtownie. W pośród okropnych boleści wyrzucała sobie, iż jest przyczyną śmierci Zygmunta, ponieważ mu wzbroniła połączyć się z ubóstwianą przez niego dziewczyną. „Wando! Wando! — wołała w gorączkowych nocach, — ach! żebym mogła widziéć ją jeszcze przed śmiercią! O! ja nie skonam spokojnie, póki jéj przebaczenia nie otrzymam!“

Co miał czynić biedny pułkownik? Pozbawiony córki, która już od roku była zamężną, i właśnie w owym czasie nie mogła wcale przyjechać; nie mogąc w miejscu pozbawioném wszelkiéj pomocy dać sam sobie radę z tak chorą kobietą, napisał błagający list do Wandy, prosząc jéj na wszystko, aby przyjechała co prędzéj udzielić przebaczenie matce Zygmunta.

W parę dni Wanda Ulewicz przybyła; wiedziała już o wszystkiém co się stało. Pędziła noc i dzień, aby jak najprędzéj przybyć do Szczawnicy. Skoro ją pułkownik spostrzegł, wybiegł do niéj wyciągając ręce; ale spojrzawszy jéj w oczy, cofnął się przerażony, bo mu się zdawało, że to nie ta sama kobieta, tak była zmienioną. Przybyło jéj dziesięć lat wieku, i z téj pięknéj, uroczéj dziewczynki, promieniejącéj życiem i radością, został się jakby cień jéj saméj. Z suchém okiem, bo źródło łez wyschło z jéj powieki; bez słowa wyrzutu lub żalu, milcząca i spokojna stanęła przy łóżku pułkownikowéj; tak spokojna i poważna, iż można było mniemać, że to marmurowy posąg, postawiony na grobie Zygmunta. Ujrzawszy ją pani Tomecka, pojęła także odrazu, że to był już tylko posąg, piękny posąg boleści, który okrutna ręka zaklęła w marmur na grobie Zygmunta; że ta dziewczyna była moralnie zabitą, zabitą bezpowrotnie. A jednak nie skarżyła się: żadne słowo wyrzutu z ust jéj się nie wydobyło; ale uśmiech jéj, ów anielski czarujący uśmiech skonał na zawsze, uleciał za tym, który go wywoływał. Pułkownikowa uderzona w samo serce tym widokiem, widząc że dwie ofiar naraz zrobiła, wyskoczyła z łóżka, rzuciła się do nóg Wandy, i zlewając łzami jéj ręce, wołała: „Przebaczenia! przebaczenia!“

„Nie wspominajmy nigdy przeszłości! — rzekła uroczyście panna Ulewicz, podnosząc ją i kładąc napowrót. — Przeszłość już do nas nie należy, dotykać jéj nie wolno. To umarły, którego potrzeba zostawić w spokoju, bo poruszyć go jest grzechem!“ I odtąd już nigdy nie wymówiła imienia Zygmunta.

Wanda objęła zaraz obowiązki siostry miłosierdzia w pokoju chorej pułkownikowéj. Niestrudzona, niezmordowana, z anielską cierpliwością oddawała jéj sama najcięższe posługi, bo biedna matka Mińci toczona przez raka, męczyła się sama okropnie i wszystkich oddalała od siebie, płatnym bowiem sługom trudno było przy niéj wytrzymać. Ale poświęcenie Wandy nie znało granic; zdawało się, że ta dziewczyna jest pozbawioną wszelkiego czucia, że duch uleciał gdzieś w nadziemską krainę, a tylko ciału jéj dozwolono posuwać się na téj ziemi, aby bliźnim swoim służyć i pomagać!

Kiedy pułkownikowa skonała, gdy Wanda zamknęła jéj powieki, odmówiła nad nią ostatnie modlitwy, sama ją obmyła i ubrała, z tym samym niewzruszonym spokojem i idealną słodyczą zasiadła przy łóżku pułkownika, który, chociaż były wojskowy, jednak moralnie mniéj silny od téj wątłéj kobiety, nie mógł wytrzymać widoku męczącéj się żony, słyszeć jéj jęków i żyć w powietrzu przesiąkniętém wyziewami z jéj rany, i dostał czarnéj melancholji. Tutaj mniéj trzeba było leczyć, jak raczéj rozrywać, bawić znękany umysł tylu ciosami. I to Wanda potrafiła doskonale; przewiozła go z największą troskliwością do Krakowa, aby co prędzéj oddalić go z miejsca tak bolesnych wspomnień; tam najęła mu dom ze ślicznym ogrodem pełnym kwiatów, gdzie go codziennie wyprowadzała na promienie słońca. Czytywała mu po parę godzin, bo pan Tomecki tak miał wzrok osłabiony, że już sam nie był w stanie czytać; grywała z nim

w szachy, których się dla niego doskonale wyuczyła, pisywała pod jego dyktowaniem agronomiczne artykuły do gazet; na fortepianie grywała mu jego ulubione marsze i polonezy. I gdy go wyleczyła zupełnie; gdy żal pułkownika zaczął się zwolna zacierać, a swobodny jego humor powrócił, Wanda cichutko, po swojemu, nie mówiąc nic nikomu, sądząc się już niepotrzebną, zabrała swoje manatki i wyjechała.

Tymczasem Mińcia przybyła do ojca, ale nie mogła bawić dłużéj jak parę tygodni. Kiedy miała wyjeżdżać, pułkownik, który nie mógł pojechać do Królestwa, gdzie państwo młodzi mieszkali, rozpłakał się jak dziecko. „Cóż ja teraz mocium pocznę sam jeden na świecie!—zawołał.—Jakże teraz dom mój wyda mi się duży i pusty. Okropnieto panie dobrodzieju zostać na starość tak samemu, opuszczonemu. Syn mój leży daleko, żona odumarła, ty znów pojedziesz mocium Bóg wié na jak długo; nareszcie Wanda, niedobra Wanda uciekła ode mnie także. Cóż ja teraz dam sobie za radę panie bez téj Wandy? kto będzie pamiętał o mnie i rozrywał, kto mi będzie czytywał i grał codzień partją szachów? kto będzie mnie pielęgnował mocium jak zachoruję? Najgorzéj to panie dla starca pozostawać na łasce służących. Od czasu jak Wanda uciekła ode mnie, jestem mocium niezdrów, i czuję panie że i ja pójdę niedługo do grobu za tamtemi, bo cóż mi tu robić na świecie, nikomu już niepotrzebny, to téż i nikt nie dba mocium o mnie!“

Słysząc to Mińcia, rzuciła się na szyję ojca i ściskając go czule, szepnęła mu do ucha: „Ojcze mój kochany, ja wiem na to radę. Będziesz zupełnie zdrów i nawet szczęśliwy, i pożyjesz jeszcze długo, długo, aż się doczekasz takich oto dużych wnuków. Oto ojczunio powinien ożenić się z tą najlepszą i niezrównaną Wandeczką.“

Na te słowa pułkownik aż się zachwiał ze wzruszenia, a oczy jego błysnęły wyrazem niewysłowionéj radości. Ale po chwili kiwając głową:

„Nie, nie!—przemówił smutnie,—toby było mocium żądać za wiele od niéj, to nadto wielka ofiara. Wanda nie może zechciéć poświęcić swoje życie człowiekowi, który jéj panie tak wielką wyrządził krzywdę!!“

„Ojczuniu, ojczuniu! chyba nie znasz naszéj Wandy!—odparła Mińcia z wymówką.—Nie wiész jakie tam skarby poświęcenia, siły i miłości! Ja ci ręczę ojczuniu, że ona przystanie.“

I Wanda przystała, ale przystała spokojnie, z godnością, a krok ten nie wzruszył jéj nawet, nie ożywił ani na chwilę marmurowych rysów jéj twarzy. Widać było, że przyjmując rękę pułkownika, spełnia tylko wielką ofiarę, którą może tajemnie okupiła silną walką, lecz spełniła do dna czarę goryczy, wydzieloną jéj przez Stwórcę. Odmówiła znacznego zapisu, który przy intercyzie pułkownik chciał jéj zrobić, i nie przyjęła żadnych ślubnych podarunków. Wymówiła sobie także, że mąż nie wprowadzi ją do owego wielkiego świata, gdzie dawniéj przebywał. Wistocie, nie bywa prawie nigdzie, ubiera się zawsze skromnie, i w ogóle bogata pułkownikowa wydaje na siebie może mniéj jeszcze, jak uboga panna Ulewicz. Zresztą jest zawsze taką, jakeście ją państwo widzieli, ubóstwiana przez męża, pasierbicę i tych co ją otaczają; sama jest zawsze blada, milcząca, poważna, bo duch ożywiający ją szczęściem i wesołością uleciał razem z ukochanym do lepszéj krainy, a serce pozostało mu wierne.“

* * *

Co daléj się stało, łaskawe moje Czytelniczki, to zapewne łatwo odgadniecie. Zostałyśmy jeszcze parę dni w Krakowie, który podług życzenia poznałałam dokładnie, a przebywając ciągle z rodziną pułkownika, takeśmy się z nią zaprzyjaźniły, żeśmy się ze łzami żalu pożegnały. Od tego czasu nie widziałam Wandy, ale jéj wspomnienie pozostanie niewygasłe w mojém sercu. Pisuję téż często do Mińci i dowiaduję się zawsze skwapliwie o Wandę. Co się z nią daléj stało, łatwo przewidziéć, bo taka kobieta postępuje zawsze wytrwale do końca raz obraną drogą, chociażby ta stawała się coraz przykrzejszą i uciążliwszą.

Pani Tomecka pielęgnowała męża aż do ostatniéj jego chwili, a gdy umarł, sama odprowadziła go na ostatni spoczynek, sama rzuciła pierwszą garść ziemi na jego trumnę i najdłużéj klęczała na świeżo usypanéj mogile, a ztamtąd prosto z cmentarza pojechała do domu ukochanéj Mińci, gdzie gromadka dziatek wymagała starań i opieki. Tam z drogą swoją wychowanką podzieliła się kłopotami i trudami macierzyństwa, biorąc na siebie najważniejszą część, to jest wychowanie i naukę. Mińcia, któréj majątkowe interesa były właśnie bardzo zaplątane, mogła tym sposobem obejść się bez płatnéj guwernantki, bo Wanda była dla jéj dzieci najtkliwszą opiekunką, najrozumniejszą mentorką; zapewne zdaje jéj się, że tym sposobem okupuje sobie jako nagrodę połączenie się wieczne z Zygmuntem, że poświęcając się dla jego rodziny, duch jego jest jéj bliższy. Pozostała zawsze tą samą: cichą, spokojną Wandą—nigdy łza żadna, ani żadna skarga nie zdradza jéj cierpienia; ale też anielski uśmiech, który ją czynił tak uroczą, nie powrócił już nigdy.

DO SMUTNEGO PRZYJACIELA.

Płaczesz na życie—cóż ci życie winno,
Żeś biegł na oślep bez celu i drogi?
Że z nierozwagą zbierałeś dziecinną,
Nie kwiecie wonne, a ciernie i głogi?

Wszak Pan Najwyższy darów ci nie skąpił—
Dając ci duszę, dał samego siebie...
Z tym darem bożym jakżeś ty postąpił?
Czy utonąłeś kiedy myślą w niebie?

Ty, jako majtek, bez żagli i wiosła
Płyniesz, miotany nurty spienionemi;
W duszy twéj zdradna niewiara urosła...
Czyż dziw, żeś szczęścia nie znalazł na ziemi?

Uderz się w piersi i uderz z pokorą,
A wiara święta niech cię opromieni...
Modlitwą uzdrów twoją duszę chorą,
Ona twe smutki w spokojność zamieni!

Kochałeś ludzi—ale pytam ciebie,
Czyś ich w swéj duszy zwał braćmi swojemi?
Kochałeś, prawda, lecz kochałeś siebie!
Czyż dziw, żeś szczęścia nie znalazł na ziemi?

Ty oddaj ludziom i serce i mienie,
A gdyś ubogi, daj im łzę litości...
A będziesz, bracie, szczęśliw nieskończenie,
Bo wraz z miłością Bóg w sercu zagości!

Gdy przesycenie serce twe ziębiło,
Szedłeś w świat boży kroki sierocemi...
Przed i za tobą nic ci nie świeciło—
Czyż dziw, żeś szczęścia nie znalazł na ziemi?

Wezwij nadzieję!... przyjm ją w serce swoje,
I niech się ona z krwią twoją połączy—
Słodkiéj pociechy spłyną na cię zdroje,
Świat się uśmiechnie—smutek się twój skończy.

O! nie płacz, bracie, na życia koleje!
Gdy wiara święta twoim stróżem będzie,
Gdy w sercu wzniecisz miłość i nadzieję,
Będziesz szczęśliwym i zawsze i wszędzie!

Józef Moroz.

TRYEST.

(Dalszy ciąg).

Około północy zbudził mnie ze snu świst zatrzymującéj się lokomotywy i głos konduktora, który oznajmiał miasto *Cylli.* Wychyliłam z wagonu głowę i ujrzałam odwieczne zwaliska zamku, panujące nad miastem. W owym-to zamku mieszkała niegdyś córka naszego Kazimierza Wielkiego, zaślubiona z Margrabią Cyllejskim. Tu przybyli także posłowie Władysława Jagiełły po młodą Annę, wnuczkę Kazimierzową, która zająć miała tron, osierocony po pięknéj i cnotliwéj Jadwidze. Trudne było zadanie biednéj, nieurodziwéj Anny, zastąpić uroczą i drogą tak Jagielle, jak całemu narodowi Królowę; to téż niemiła mężowi, przeżyła kilka lat na tronie w tęsknocie i opuszczeniu, a nakoniec umarła, zapomniana wkrótce przez wszystkich i nawet grobowym nie uczczona pomnikiem.

Podczas gdym rozmyślała nad smutnym losem Anny, lokomotywa posuwała się spiesznie; przebyliśmy Sawę i wjechali w krainę *Karniolu*, otoczoną wysokiemi górami; niezadługo też wśród ciemności ukazało się miasto Lajbach, po słowiańsku Lublana.

Pierwszy brzask zaświtał nakoniec, ale jakby na przekorę, znikły nagle malownicze krajobrazy, a rozpoczęła się okolica, dziwnie pusta i dzika, coś nakształt Arabji skalistéj. Oprócz spalonéj trawy i karłowatych brzozek, nie widać tu żadnego śladu roślinności. Ziemia pokrajana w jary jak sięgnąć okiem, cała pokryta odłamami szarych skał rozmaitych rozmiarów, które przykry sprawiają widok. Powodem téj nieurodzajności jest panujący nieustannie wiatr północno-wschodni (Boreasz), który wysusza i jałowi ziemię. Niekiedy wiatr ten tak bywa silny, że przewraca wozy ciężko naładowane. Całe wybrzeże dalmackie, ciągnące się aż po Fiume, równie dziki i smutny przedstawia obraz.

Słońce weszło i wzbiło się w górę, a okolica wcale się nie zmieniła. Przybyliśmy wreszcie do Nabreziny, ostatniéj stacji przed Tryestem. Zadrżałam na myśl, że przez cały miesiąc będę miała przed oczyma tak okropne pustkowie. Gdym smutno przemyślała, pociąg ruszył, minął tunel i nagle po prawéj ręce ukazała się niezmierzona okiem, szafirowa jak południowe niebo przestrzeń Adrjatyku: mnóstwo łódek o białych żaglach pomykało po wodzie, niby stado białych łabędzi, a mewy z rozpostartemi skrzydły przelatywały nad morzem, dopatrując łupu. Brzegi podniesione nad poziom, lubo jałowe, przysłonięte jednak siną mgłą oddalenia, ozłocone promieniem słonecznym, wyglądały uroczo. Gdym się przypatrywała chciwém okiem, lokomotywa wbiegła w długi tunel, a po kilku minutach grobowéj ciemności, ujrzałam się u kresu podróży, w ogromnym tryestskim banhofie.

Tryest, stolica Illirji, położony na północno-wschodnim brzegu Adrjatyku, jest najznakomitszym portem austrjackim: wzrósł on do dzisiejszéj potęgi kosztem Wenecji i węgierskiego portu Fiume; liczy obecnie przeszło 64,000 mieszkańców, a ludność jego zwiększa się z każdym rokiem. Owa ludność, jak zwykle w miastach portowych, dziwną

przedstawia mieszaninę, składa się bowiem z różnych narodowości: Włochów, Greków, Ormian, Słowian rozmaitych odcieni, Niemców i Anglików. Żywioł włoski pochłonął tu jednak wszystkie inne i odbija tak w mowie jak w obyczajach. Germanizm przeciwnie, wcale się tu nie przyjął: urzędnicy tylko i wojskowi mówią po niemiecku, zresztą słychać jedynie pieszczoną włoską mowę; napisy na sklepach także włoskie, równie jak wszelkie ogłoszenia. Co jednak najwięcéj przypomina Włochy, to gwarliwa wesołość ludu i ten nadmiar życia, który się objawia najrozmaitszym sposobem, to kłótnią, to śmiechem, to piosenką; kiedy w Niemczech, a nawet w Wiedniu, owym tak zwanym Paryżu niemieckim, sklepy zamykają już o dziewiątéj, a wszystko co żyje pospiesza do domu na spoczynek; w Tryeście ze zmierzchem rozpoczyna się prawdziwe życie. Liczne tłumy, tak miejscowych jak i przybyszów, cisną się do kawiarni i zasiadają pod wystawą przy stolikach. Trudno sobie wyobrazić gwaru, jaki tam panuje: obecni różnemi językami, istnie jak w wieży Babel, udzielają sobie wzajem wyczytanych w gazetach nowin i dodają do nich komentarze; muzyka na różnych instrumentach wygrywa wyjątki ze znanych oper, śpiewaczki wywodzą włoskie arje, kramarze roznoszą mydełka, perfumy, zapałki i portmonetki, zachwalając i wciskając natrętnie swój towarek; kwiaciarki sprzedają bukieciki, mnóstwo wreszcie żebraczek i odartych dzieci w łachmanach snuje się w tłumie, domagając się błagalnym głosem jałmużny. Dodajmy do tego zewnętrzną wrzawę, gdyż pierwsze tutejsze kawiarnie umieszczone są blizko portu. Lud oblega je tłumnie, przygląda się zebraniu i z zajęciem przysłuchuje muzyce. Przy tak rozbudzoném życiu kawiarnianém możnaby mniemać, że te wytworne zakłady zaspokoją wszelkie wymagania; przeciwnie jednak się dzieje: miejscowe tylko przedmioty, łody i czekolada, nic nie zostawiają do życzenia; herbata za to wcale smakiem niepodobna do odwaru chińskiego, raczéj do ziółek z pomarańczowego kwiatu, z którym pół na pół pomieszana; do kawy zaś oprócz chudego mléka, dodają tu w kieliszkach jakiś ubity kożuch, bynajmniéj niezachęcający.

Położenie Tryestu bardzo ładne i urozmaicone; miasto składa się z dwóch części, ze starego miasta, skupionego na pochyłości góry, którego koroną jest katedra i warowny zamek; oraz z nowego miasta, zbudowanego w amfiteatr nad portem. W tém ostatniém ulice szerokie, wyłożone granitowemi flizami, domy nowe, kształtne, o pięciu i sześciu piętrach. W starém mieście za to uliczki tak wązkie, że powóz w żaden sposób nie mógłby niemi przejechać; to też tam nie krążą powozy, bo ludność uboga, złożona z rybaków i rzemieślników, wyłącznie tę część zamieszkuje. Pomiędzy nowém a starém miastem ciągnie się długa i szeroka ulica *Corso*, najpiękniejsza w Tryeście, pełna wystawnych sklepów, w któréj tak wśród dnia jak wieczorem niezliczone snują się tłumy. Do tych dwóch części miasta możnaby jeszcze dodać trzecią, rozrzuconą na pochyłości góry od strony wschodniéj, złożoną z prześlicznych willi w stylu gotyckim, włoskim lub szwajcarskim, otoczonych zielonemi ogródkami. Są to mieszkania tutejszéj arystokracji, która, sądząc z wielkiéj ilości tych rozkosznych siedzib, musi być bardzo liczna. Arystokracja-to wyłącznie pieniężna, nie rodowa, złożona ze spanoszonych negocjantów, z akcjonarjuszów słynnego Lloydu austrjackiego, owéj wielkiéj spółki handlowéj, która tu ma główne ognisko swoje. Giełda jéj zwana *Tergisteo*, należy do najwspanialszych gmachów w Tryeście. Od dwunastéj do drugiéj niezliczony tłum zapełnia sale i zewnętrzną galerję; przechodząc wtedy koło niéj, słychać szmer głosów podobny do brzęczenia pszczół w ulu: wszyscy gorączkowo czynni i poruszeni, na każdéj twarzy odbija żywe zajęcie, w tych bowiem godzinach układają się tu najważniejsze handlowe sprawy. W jednéj z sal tego gmachu urządzona jest wielka czytelnia, opatrzona we wszystkie perjodyczne pisma i gazety; mówią, że drugiéj tak zamożnéj nie ma podobno w Europie. Można tam wnijść nie opowiadając się nikomu i naczytać się dowoli, ale przywiléj ten służy wyłącznie mężczyznom. Możeby i kobiecie nie wzbroniono przystępu, bojąc się jednak zawodu, nie probowałam szczęścia. A potém wyznam, że owe tysiące głosów, wołające różnemi językami: *handel, handel!* przerażały mnie i ziębiły stokroć bardziéj, niż kąpiel morska; to téż przemykałam chyłkiem koło giełdy, zapominając nawet o dziennikarskiéj literaturze.

Brak towarzystwa nie cięży bynajmniéj w Tryeście, bo pełen barwy obraz życia zewnętrznego porywa nas mimowoli, a lubo nie bierzemy w niém udziału, nie możemy jednak zostać obojętnemi jego świadkami. Sam widok morza ogromny, nieskończony, dosyć już silnie przemawia do duszy, aby ją zapełnić myślą poważną i wyższą. A potém owa samotność w pośród tłumu ma jakiś niewysłowiony urok. Zapewne taki rodzaj oderwanego życia nie mógłby wystarczyć na długo: człowiek bowiem potrzebuje koniecznie, aby ścisłe ogniwa łączyły myśl jego i serce z otaczającém go społeczeństwem. Niekiedy jednak taki spoczynek ma swoje niezaprzeczone korzyści: w nim człowiek

hartuje siły, aby śmieléj stawić czoło nowym burzom, w nim zaprawia strudzone barki do dźwignienia nowych ciężarów.

Głównym celem tutejszych przechadzek jest port nadzwyczaj obszerny i ożywiony. Widać w nim nagromadzone liczne okręty, parowce i statki wszelkiego rozmiaru, kształtu i przeznaczenia. Samo stowarzyszenie Lloydu posiada sześćdziesiąt pięć własnych parowców, które wysyła na wszystkie strony. Codzień o północy jeden taki statek wychodzi ztąd do Wenecyji, inny co parę dni opływa wybrzeża dalmackie, zatrzymując się po głównych miastach; inny co tydzień wyrusza do Grecji i Konstantynopola. Oprócz tego mnóstwo okrętów zawija wciąż do przystani, nietylko z krajów europejskich, lecz i z drugiéj półkuli świata. W tym roku jednak z powodu wojny w Stanach Zjednoczonych, mało przypływa statków z Ameryki. Ogorzali majtkowie roją się w porcie jak w mrowisku: tu zdejmują towary z przybyłego świeżo parowca, dyszącego jeszcze parą i dymem, tam znów ładują drugi, który ma ruszyć w drogę. Wozy uprzężone wołami, naładowane ciężarem, krążą w rozmaitych kierunkach; rybacy puszczają się łodzią na morze, opatrzeni w ogromne sieci. Przewoźnicy oczekują w barkach i zachęcają przechodzących do miłéj przejażdżki po morzu. Wszystko to razem przedstawia obraz pełen życia, ubarwiony jaskrawym strojem Turków, których co krok napotkać tu można. Dodajmy jeszcze do tego las masztów, ozdobionych w górze barwistemi flagami; dodajmy zwłaszcza szafirowe fale Adrjatyku, na których zachodzące słońce pozostawia długą smugę złotych promieni, a będziemy mieli słabe pojęcie tego prawdziwie uroczego obrazu. Nic też milszego, jak wieczorna wycieczka barką: im daléj odsuwamy się od brzegu, tym bardziéj milknie gwar tłumu, słychać tylko plusk fali poruszanéj wiosłami; a odgłos dzwonów na *Ave Maria*, wobec téj ogromnéj przestrzeni głęboko przejmuje duszę i przenosi ją w świat wyższy, nieskończony.

Łatwo pojąć, że w obec tak wspaniałego obrazu przed oczyma, lud tutejszy odznacza się pobożnością. Ile razy byłam w kościele, czy-to w święto, czy w dzień powszedni, uważałam zawsze licznie modlące się tłumy. Wieczorem nawet, gdy jedni gonią za rozrywką, otaczając kawiarnie i przysłuchując się muzyce i śpiewom, drudzy cisną się do otwartych i oświeconych przybytków bożych na wieczorną modlitwę, którą kapłani odmawiają głośno wraz z ludem. Razu jednego z rana trafiłam na uroczyste nabożeństwo bractwa matek chrześcijańskich. Mnóstwo zebranych niewiast różnego wieku i stanu brało udział we wspólnych modłach: obok strojnych pań klęczały ubogie niewiasty zludu, jak jedne tak drugie zbratane świętém uczuciem macierzyńskiéj miłości. Biskup tutejszy celebrował sam, a dyrektor bractwa, dominikanin, przemawiał z prawdziwém namaszczeniem o wielkiém powołaniu matek chrześcijańskich i o przyszłém odrodzeniu społeczeństwa za pobożną ich sprawą.

Kościołów w Tryeście jest pięć, oprócz pomniejszych kaplic. Z tych katedra pod wezwaniem Świętego Justyna (San Giusto) w stylu bizantyjskim, należy do najdawniejszych przybytków w Europie, niektóre bowiem jéj części sięgają V i VI wieku. Zbudowano ją snać na gruzach pogańskiéj świątyni, pozostałéj z czasów, gdy Rzymianie władali Illirją: świadczą o tém wielkie płyty kamienne pokryte rzeźbą i napisami, wmurowane w zewnętrzne ściany. Kształt kościoła prawie czworograniasty: trzy rzędy arkad opartych na filarach przecina wzdłuż nawę. Ołtarze w guście bizantyjskim, umieszczone są w niszach wyłożonych staremi mozajkami. Z pomiędzy nagrobków uważałam kamień położony Don Karlosowi, pretendentowi hiszpańskiemu, który dokonał tu życia wygnańcem w roku 1855, i po burzach życia znalazł tu grobowy spoczynek.

Obok katedry, w miejscu zamkniętém, gdzie był niegdyś cmentarz, jest zbiór starożytności tutejszych; składają go szczątki kolumn i kapitelów rzymskich, oraz odwieczne płaskorzeźby. Wśród tych starożytności spoczywa sławny archeolog niemiecki Winkelman, którego zamordowano w Tryeście przed stu laty w jednym z pierwszych hotelów.

Katedra, jak mówiłam, leży w górzystéj części miasta; z jéj tarasu prześliczny roztacza się widok na cały port i morze. Szerszy jeszcze widnokrąg ogarnąć można z przed zamku, który wznosi się nad katedrą na samym wierzchołku góry, ale przystęp do niego utrudniony z powodu otaczających go fortyfikacyj.

Z pomiędzy innych starożytności zasługuje tu jeszcze na uwagę mały plac, zwany *piazetta di Ricardo*. Podanie miejscowe mówi, że król angielski Ryszard Lwie serce, powracając z Palestyny, więziony był w tém miejscu przez Fryderyka Barbarossę. Plac ten łączy się z miastem odwieczną bramą, zwano *Arco di Ricardo*.

Starożytne owe zabytki nikną jednakże w obec ogromu i zamożności nowego miasta. Główną cechą Tryestu jest życie handlowe, kosmopolityczne, głównym jego pulsem *Tergisteum* czyli giełda. Spanoszone miasto stara się wszelkiemi siłami przyo-

zdobić się godnie, z każdym też rokiem wznosi nowe gmachy, urządza nowe teatra; a jakby na dowód, że nie samemu cielcowi złotemu składa hołdy swoje, niekiedy i Panu Bogu zbuduje przybytek. Dowodem tego wzniesiony niedawno kościół Świętego Antoniego w nowéj części miasta nad kanałem. Nie brakuje w nim ani wspaniałych rozmiarów, ani bogactwa w marmurach i ozdobach, a jednak nie czuć tu owego tchnienia wiary, tak żywo przemawiających do nas w odwiecznych bazylikach gotyckich. Grecy liczni pomiędzy kupcami tutejszemi, zbudowali też niedawno blizko portu wspaniałą cerkiew o dwóch zielonych kopułach, błyszczącą wewnątrz od złota i srebra. (d. n.)

---

* * *

Utrzymują, że dobry furman krakowski, powodujący piątką z konia, za jednem rozwinięciem bicza z trzaskiem uderza każdego z nich koleją, i następnie zwija go na biczysku, bez żadnego powtórnego zamachu. Czy zręczność ta rzeczywiście stanowi przymiot zuchów Krakowiaków, nie miałem sposobności sprawdzić; ale wiem, że wszelkie sprawozdania tygodniowe, gwiazdki lub pogadanki, z podobnym powinny być pisane zamachem, żeby od początku aż do końca, jak z bicza trzasł, nigdzie nie było przerwy ani przestanku. U nas dla takich Krakowiaków pióra zawsze praca była trudna i mozolna; cóż dopiero dzisiaj, przy mgłach jesiennéj wilgoci, fladze śnieżycy i innych wybrykach atmosferycznych? Więc przebaczcie szczerby i zająkiwania się rozmowy z Wami..., z czasem poprawię się, a nawet może prędzej jak myślicie,— ale pod warunkiem, że każda z Was dobre Panie, przysposobi mi nowych czytelników, nie prenumeratorów jednak, choćbym się i o to nie gniewał...— ale nowych czytelników, dla których dotąd litera ma znaczenie hieroglifu chińskiego, a pismo coś w sobie czarodziejskiego.

Warszawa skora do dobrego, i w tym razie uprzedzić się nie pozwoliła; kilka bowiem zacnych naszych Dziewic, pomimo mozolnéj pracy całotygodniowej, postanowiło ranne godziny Niedzieli i święta poświęcić bezpłatnéj nauce prostaczków, poczynając od abecadła. Proszą więc o uczniów, bo i o tych niestety! starać się jeszcze trzeba; pragnących zatém z poświęcenia tego korzystać, proszę przysłać do naszéj Redakcji.

Gdyby młode nasze Polki, nauczenie jednéj lub dwóch osób z ludu czytania i pisania, choćby w ciągu całego swego żywota panieńskiego, wzięły za obowiązek sumienia, za powinność i chrześcijańską i obywatelską, w lat kilkanaście a nawet kilka, wiosek naszych z pewnościąbyśmy nie poznali. Uczniowie bowiem zamienialiby się w nauczycieli, i tak idąc z roku na rok, oświata a raczéj ugłaskanie i uczłowieczenie ludu naszego rosłoby jak bieg parowozu, co z ledwo dostrzeżonego ruchu, stopniowo w szalony pęd przechodzi. Cud ten sprawić, zależy od was wyłącznie zacne Dziewice polskie, tylko nie zrażajcie się ani trudnościami, ani małością swego poświęcenia w stosunku do potrzeb całego kraju; nic bowiem łatwo na świecie nie przychodzi, a nie ma żadnéj wielkiéj rzeczy, jak powiedział Montesquieu, któraby nie miała małych początków. Ale u nas, jak w gospodarstwie łatwiéj o nakład na kupno bezużytecznych holenderek lub specyfików szarlatańskich, obiecujących płonność roli zamienić prawie w niewyczerpaną żyzność, niż o ulepszenie obory i ziemi własną pracą i starunkiem; tak w poświęceniu dla dobra kraju, łatwiej wyprosić tysiące, niż kilka godzin tygodniowéj pracy, wyłącznie dla niego ofiarowanej. Gdyby miłość ludu można było kupić, już dawno serdeczny związek łączyłby wsie ze dworami—ale że na miłość tę trzeba zapracować i zdobywać ją pomału z trudem, mozołem i poświęceniem, a często zaparciem się samego siebie; dlatego tak wszystko postępuje wolno i uporczywie. Pieniądz nie zawsze i nie wszędzie stanowi potęgę, a u nas rzadziej jak gdzieindziéj.

Gdyby we krwi naszéj było coś germańskiego, jakoś prędzéj możnaby pieniądzem wojować: ale Słowianie i Niemcy, to jak ziemia i niebo, i dlatego-to przysłowie polskie naucza, że „papką, czapką, chlebem i solą ludzie ludzi niewolą“, a nie talarem ani dukatem.

W Numerze 4 *Przyjaciela Zdrowia*, w artykule wstępnym *O żywności*, autor wychodząc ze stanowiska, że żywność wpływa na charakter ludzi, na ich obyczaje, na postęp ogólny; że pod dobroczynnym jéj wpływem ludy dzikie przerobiły się w narody rolnicze, przemysłowe, miłujące nauki i postęp ogólny; daje następnie ogólny obraz ważności przywiązanej do żywienia naszego ciała i przechodzi do uwag nad żywnością ludzi pracy fizycznej i ludzi biednych. Niemi naucza, że cechą naszego narodu nie jest gnusność i lenistwo, jak ludzie nielubiący go głoszą, ale gorliwa praca, i że tylko nędzne wyżywienie służących wiedzie ich instynktowo do oszczędzania sił na jutro; że z tego samego powodu, pomiędzy ludnością rolniczą, najmniéj jest zdrowia a najwięcéj śmiertelności, i że wreszcie szczupła

i zła żywność jedyną prawie jest przyczyną, iż średnia długość życia w ubogiéj klassie rzemieślniczej, stosunkowo do innych stanów, jest od lat 25 do 30. Pragnąc zaradzić temu przerażającemu stosunkowi śmiertelności, redaktor proponuje urządzenie w Warszawie i w większych miastach obiadów garnuszkowych, przyrządzanych bez żadnego zysku, tylko za cenę poniesionego na nie wydatku.

Projekt ten zacny i prawdziwie obywatelski, obszerniéj został rozebrany w samém piśmie, do którego ciekawych odsełając, zwracamy uwagę naszych Czytelniczek, że każde społeczeństwo, a więc i nasze, jest podobne do organizmu ludzkiego z całém jego tajemniczém działaniem; i że jak za cierpieniem jednego organu całe ciało boleje, tak i w społeczeństwie, nędza jednéj klassy szkodliwie oddziaływa na jego całość. U nas ludności pracującéj w roli lub przy warsztatach, jest przeszło cztery miljony, malutka więc cząstka, bo 600,000 zaledwie wynosząca, jest ludzi niezajmujących się pracą fizyczną i żyjących w koniecznych warunkach właściwej dla siebie żywności. Z tego nienaturalnego stosunku następstwa jasne i wiadome każdemu: rozbierać ich nie ma potrzeby, ale starać się o zaradzenie temu, o naprawę złego jest naszym świętym obowiązkiem pod klątwą przyszłych pokoleń.

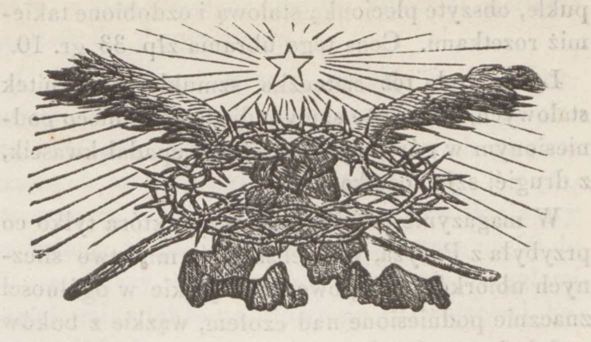
Jak zaś radzić i postępować, jak usuwać powody wszelkich cierpień fizycznych biednej roboczéj klassy, jak łagodzić boleść choroby, jak jej zapobiegać, znajdziecie to wszystko na każdéj kartce *Przyjaciela Zdrowia*, który już dziś tak serdecznie został przyjęty przez miłujących dobro kraju obywateli. W drugim artykule *O skórze*, także pióra samego Redaktora, autor rozwija znaczenie potów, ich wpływ na zdrowie, przedstawia środki zapobiegające wszelkiemu zatrzymaniu się potów; następnie mówi o myciu złém i dobrem, o skutkach z tego wynikających i obchodzeniu się z chorym aż do wyzdrowienia, a to wszystko pod względem skóry i jej działania w organizmie ludzkim. Następne artykuły są o fałszowaniu serów zagranicznych, o tyzannach używanych zwykle w chorobach i o zapobiegnięciu nieprzyjemnéj z ust woni.

SZARADA.

Pierwsza i *trzecia* pływa, płynie wstecznie *druga*,
Wszystkie służą do grania; szaradka niedługa.

A. T.

(Znaczenie przeszłéj Szarady:—**KRASKI**).



Pomiędzy mnóstwem mód, przesuwających się codziennie przed naszemi oczyma, są i takie, które lepiéj odpowiadając potrzebie czasu i miejsca, zakorzeniają się niejako i upowszechniają. Takie mody są zazwyczaj wyrazem myśli panującéj w społeczeństwie. Do tych dziś policzyć możemy owe kaszmirowe kapelusze i płaszczyki z barankami; ubrana w nie kobieta nie wygląda już na wypieszczone dziecko, wykołysane w jedwabiach i łabędzich puszkach—przeciwnie, znać, że gotowa w każdéj chwili stawić czoło burzy i słocie, i dlatego przywdziała odzież odpowiednią nowemu przeznaczeniu. Szczęśliwy to zwrot, serdecznie mu téż przyklaskujemy!

Baranki (czyli raczéj naśladujący je wyrób), używane tak powszechnie do kaftanów i płaszczyków, zaczynają się także pojawiać i u zimowych sukien. Widzieliśmy taką suknię w magazynie pani Falkenthal. Była-to prawdziwa węgierka z czarnéj gładkiéj alpagi. Staniczek z podwójnym bawetem na przodzie i z karoczkiem z tyłu, obłożony wkoło drobno kędzierzawiącym się barankiem; miał takiż kołnierz i klapki, które można było zamykać lub otwierać podług upodobania. Za klapkami szły po bokach dwa rzędy stalowych guzików; oprócz tego dany był szamerunek, od którego pletnie zapinały się na duże guziki w formie podłużnych baryłeczek, przyciskając klapki. Rękawy ścięte od łokcia, paletotowe, obłożone były barankiem i przybrane nim w podłuż do ramienia.

W tymże magazynie uważaliśmy ładne ubiorki w kształcie czółek, przystrojone ozdobami ze stali. Tego rodzaju ozdoby zastąpiły dziś złoto i zaczynają wchodzić w powszechne użycie. Pomiędzy ubiorkami podobało nam się szczególniéj czółko aksamitne czarne, z przodu szła takaż kokarda, przepięta półksiężycem stalowym. Na pokrycie warkocza, spadała czapeczka z nitek stalowych szmuklerskiéj roboty.

Inne czółko miało z przodu djademik z kwiatów aksamitnych czarnych i stalowych, z tyłu spadały długie czarne wstążki. W miejscu gdzie się przypina warkocz z włosów, dane były dwa aksamitne

pukle, obszyte plecionką stalową i ozdobione takiemiż rozetkami. Cena tego ubrania złp. 33 gr. 10.

Ładna była téż siateczka szmuklerska z nitek stalowych, z takimże samym djademem, nieco podniesionym w górę; z jednego boku spadał kwaścik, z drugiéj szła rozetka.

W magazynie pani Sobolewskiéj, która tylko co przybyła z Paryża, widzieliśmy téż mnóstwo ślicznych ubiorków na głowę. Wszystkie w ogólności znacznie podniesione nad czołem, wązkie z boków podobnie jak dzisiejsze kapelusze. U wielu z nich spada na tył głowy dosyć długi czarny, koronkowy woalik. Ubiorki te zasługują na szczegółowy opis.

Jeden z nich w kształcie czółka wygarnirowany był z przodu odwróconą od siebie koronką czarną. W samym środku wpięty był bukiecik z czarnych aksamitnych kwiatków, po bokach szły dwa pukle aksamitne. Z tyłu pokrywała warkocz kokarda aksamitna, przybrana w środku odpowiednim bukiecikiem.

Inny ubiorek składał się z wieńca wygarnirowanego wkoło czarną koronką. Z przodu zdobiła go kokarda czarna aksamitna, z wązkim białym brzeżkiem. Z tyłu spadała takaż kokarda z długiemi końcami. Oprócz tego zarzucony był na wierzch duży woalik czarny.

Inny znów stroik, przybrany *en diadème* czarną wstążką, upiętą w ząb podniesiony nad czołem, tworzył niby rondo kapelusza; podpięcie składało się z białéj blondynki; na samym środku dana była rozetka z wązkiéj aksamitki czarnéj z białemi brzeżkami. Na tył głowy spadał czarny woalik, obszyty trzy razy aksamitką, a brzegiem białą blondyną, przytwierdzony na środku głowy kokardą z wązkiéj aksamitki, od któréj kilka długich końców spuszczało się na woalik.

Inne ubiorki i czepeczki zostawiamy na następny numer, dziś powiemy jeszcze o pięknym watowanym kapturku, jako odpowiednim téj porze. Miał on formę zwyczajnego kaptura, z szerokim kulistym karczkiem; na wierzch zarzucony był fanszonik z długiemi końcami, które podwatowane lekko, zakładały się na krzyż i zapinały na piersiach. Fanszonik, równie jak karczek, obszyty był czarną koronką; nad tym garnirunkiem szła biała wstążka, szeroka na dwa palce, naszyta w drabinkę wązką aksamitką i sutaszem; końce ze wstążki czarnéj dodane były pod spód do wiązania, od brzegu zaś spadała półokrągła woalka koronkowa, którą można było opuścić lub odrzucić na wierzch. Pod spodem koło twarzy szła wązka ruszka z białéj wstążki, garnirowana drobno. Kaptur ten cały z *poult de soie*, starannie wypikowany, kosztował złp. 80.

Widzieliśmy także w magazynie panien Kuhnke śliczny kapturek czarny kaszmirowy watowany z pelerynką, podszyty fularem; wkoło twarzy dana była rusza z kaszmiru, objęta wstążeczką czarną; pelerynka zaś wygarnirowana była falbanką z podwójnego kaszmiru. Cena jego złp. 56.

Podobały nam się téż w tym magazynie fanszoniki białe włóczkowe, pokryte siatką z czarnéj szneli; garnirowanie z przodu naśladowało baranka, końce białe przerabiane były czarną wełną, z tyłu spadała czarna frendzla. Taki fanszonik kosztuje tylko złp. 16.

Z pomiędzy sukien zwróciła uwagę naszą w tymże magazynie czarna jedwabna, naszyta u dołu kwadratami z aksamitu, zwróconemi zębem do góry. Kwadraty te, ciągnące się rzędem koło siebie, obszyte były wkoło czarną koronką. Stanik gładki, przybrany był z przodu po obu stronach takiemiż kwadratami, zwężającemi się w miarę jak dochodziły do pasa. Rękawy szerokie odpowiedni miały garnirunek.

Do pana Thonesa nadszedł znakomity zbiór rozmaitych kołnierzyków i rękawków; gładki perkalowy garnitur kosztuje złp. 18, haftowany od 26 do 36 złp. W tymże magazynie znajduje się wiele rzeczy koronkowych, jako to: woale, fanszoniki, rękawki i t. p. przedmioty. Zasługują także na uwagę patarafki angorowe bardzo ładne po złp. 4 i złp. 3 gr. 10 sztuka.

Nowości Zagraniczne.

Magasin des demoiselles.—Pomiędzy płaszczykami i okrywkami, jakie się ukazały téj jesieni, zasługują na uwagę następujące: paletot zwany *Grignan*, rodzaj długiego surduta; paletot neapolitański, z przodu gładki, z tyłu układany w głębokie fałdy przyszyte do stanu; płaszcz arabski (Abencérage), z wielką peleryną, właściwy dla osób starszych. Dla młodych właściwszy jest burnus zwany *Fatma*; panienki nosić będą także ponsze sukienne, wyszywane sutaszem. Widziałam niektóre okrywki, ozdobione wielkiemi guzikami ze stali albo z oxydowanego srebra. Obszycia z astrachanu bardzo jeszcze używane do paletotów i płaszczyków.

Materje na suknie najmodniejsze są czarne w białe paski lub w drobną białą kratkę, strojniejsze zaś białe w kratkę czarną.

Mówią, że staniki okrągłe ustąpią znowu przed bawetami, ale moda nic stanowczego nie wyrzekła jeszcze w tym względzie. Szmuklerskie wyroby ciągle są do ozdoby sukien używane.

Na dnie zimowe zalecamy bardzo paletot pokojowy, czyli kaftan dłuższy znacznie od zwyczajnéj zuawki, z wyłogami i kieszeniami, zapinany na wielkie rogowe guziki.

Ukazał się nowy rodzaj zuawki, zwanéj kaftanikiem hiszpańskim; jest krótka i otwarta na piersiach, noszą ją powszechnie na sukni.

Musée des familles.—Garnirowania do sukien robią dziś rozmaite: wolanty, wody, wystrzygane rusze, plisy, naszycie aksamitką, lub gładkim pasem materji, a nakoniec szmuklerskie ozdoby wszelkiego rodzaju. Pierwszeństwo jednak mają plisy aksamitne lub proste naszycie z aksamitki, zwłaszcza do sukien jedwabnych.

Widzieliśmy ładną sukienkę dla dziewczynki z popielatéj wełnianéj popeliny w czarny rzucik; u dołu obszyta była dwoma czarnemi jedwabnemi plisami. Stanik płaski, wycięty czworograniasto, również był plisami przybrany. Rękawy otwarte, rozcięte były u dołu, zaokrąglone z obu stron rozcięcia i zakończone plisą. Pod stanik szła biała muszlinowa szmizetka i takież rękawki.

O CHOMĄTACH.

Czyniąc zadosyć życzeniom niektórych naszych prenumeratorów, podajemy wiadomość o używanych obecnie zaprzęgach i o cenach, za jakie dostać ich można w Warszawie.

Już-to zawsze najmodniejsze, najdogodniejsze i najlżejsze będą chomąta krakowskie, które nietylko na prowincji, ale i w stolicy w powszechném są użyciu. Para chomąt krakowskich w jednéj z lepszych fabryk naszych (Krupego na Krakowskiém-Przedmieściu), ze skóry zwyczajnéj, bez płatów i bez mosiężnych ozdób kosztuje złp. 250. Jeżeli zaś w miejsce zwyczajnych konopnych, napuszczanych smołą i na granatowo farbowanych postronków, będą dodane pasy obszywane skórą, to cena powyższa dochodzi 300 złp.

Para chomąt również starannie odrobionych, lecz z lakierowanéj skóry, z postronkami jak wyżéj podano, kosztuje 300 złp., a z pasami skórą obszytemi złp. 350.

Jako nieodłączne, składowe części krakowskich chomąt, są kolorowe płaty i różne ozdoby mosiężne. Otóż płaty używają się według fantazji i upodobania w różnych kolorach, zwykle jednak panujący jest tu kolor biały, granatowy, amarantowy i czarny. Plat jeden kosztuje złp. 5, a więc do pary chomąt 20 złp. Co do ozdób metalowych, składających się z kółeczek różnéj wielkości, te wyrabiają się albo mosiężne albo najzylbrowe; pierwsze kosztują 30, drugie 50 złp.

Oprócz najwłaściwszych dla nas chomąt krakowskich, używają się jeszcze, szczególniéj na miasto, chomąta i szory angielskie; cena ich za parę czarnych lakierowanych wynosi 500 złp., a z platerowanemi ozdobami 1,000 złp. Angielskie szory na jednego konia do kabrjoletu, kosztują od 50 do 60 rsr. Szory rzymskie odznaczają się okrągłemi kształtami, a także na miasto się używającemi, kosztują 450 złp.

Opis ryciny.

Fig. 1. Suknia czarna popelinowa krojem *princesse*, nieodcinana od stanu. Przedni bryt naszyty jest w liście jedwabne szmuklerskie i małe rozety. Rękawy szerokie mają te same ozdoby co suknia. Kołnierzyk i rękawki muszlinowe haftowane, obszyte koronką *valencienne*. Kapelusz z różowéj krepy *rose thé* i czarnego aksamitu.

Fig. 2. Suknia szafirowa jedwabna, naszyta u dołu trzema szlakami gipiurowemi i fałdowaną wstążeczką z obu stron. Stanik gładki do paska, zapięty na guziki szmuklerskie, z obrobieniem gipiurowém. Rękawy fałdowane przy ramieniu, przypięte mają w tém miejscu kokardy z barbek gipiurowych. Przy rękach wyłogi obłożone są szlakami gipiurowemi i garnirowane fałdowaną wstążeczką. Kołnierzyk i rękawki tiulowe obszyte koronką. Przy kołnierzyku kokarda z barbki gipiurowéj. Kapelusz z aksamitu orzechowego koloru, przyozdobiony piórem. Główka składa się z białego i czarnego tiulu jedwabnego i kratki z rulonów aksamitnych. Karczek aksamitny. Podpięcie z białéj blondynki i kwiatów szafirowych, w djadem ułożonych. Spódniczka z białego *szyrtyngu* (gatunek perkalu bardzo ładnéj białości), z szerokim gładkim obrębem.

Fig. 3. Ubranie panienki ośmio-letniéj. Paltot z flanelki białéj w skośne paseczki czarne, obłożony na wszystkich szwach pąsową flanelką. Tym samym krojem zrobić można z czarnéj syberyny, z naszyciem jedwabném. Kapelusz okrągły z piórami.

DONIESIENIA.

Gazeta Rolnicza wychodzić będzie w 1862 r. w Warszawie tygodniowo, w arkuszu podwójnym większego formatu. Pismo to jest najtańszym dziennikiem polskim gospodarskim, bo tylko rsr. 1 (złp. 6 gr. 20) kosztuje kwartalnie. Poświęcone jest ono wyłącznie rolnictwu polskiemu. Każdy numer zawiera illustrację rysunkową z dziedziny mechaniki rolniczéj lub przemysłu gospodarskiego. Nadto, stałym rocznym prenumeratorom Redakcja bez-

płatne daje dodatki w książkach, mappach gospodarskich i leśnych, oraz nasionach roślin, które są rzadkością. Prenumeratorowie stali Gazety Rolniczéj otrzymują za pół ceny publikację: „Bibljoteka Rolnicza“ nakładem Redakcji wydawaną.—Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych w Królestwie Polskiém. Prenumeratorowie z Cesarstwa wcześniéj się zgłosić zechcą z nadesłaniem pieniędzy prenumeracyjnych, albo wprost do Redakcji Gazety Rolniczéj w Warszawie, Nr. 760, albo téż do ekspedycji poczt w Warszawie. Ci co nie prenumerują w Cesarstwie innego pisma, rsr. 2 rocznie nadesłać zechcą na koperty. Prenumerować również można we wszystkich celniejszych Księgarniach w kraju i za granicą.

PIGUŁKI Z ROŚLIN PANA CAUVIN,

Aptekarza-chemisty, ucznia Szkoły wyższéj w Paryżu

na placu Tryumfalnéj bramy Nr. 10.

Pigułki te pomagają trawieniu pokarmów, są toniczne i krew czyszczące. Użycie ich łatwe, a skuteczność niezawodna. Są jedynym środkiem przeciw niestrawności-złym humorom, ostrości krwi, a najlepszém lekarstwem na powrócenie do normalnego stanu funkcyj żywotnych. Przygotowane wyłącznie z roślinnych substancyj, wzmacniają kiszki i trzewa, czyszczą, nie utrudzając żołądka i nie osłabiając żadnego z organów ciała.



Użycie ich nie wymaga ani dyjety, ani osobnego napoju; pod tym względem są one jednym z najdogodniejszych i najskuteczniejszych środków czyszczących, dotąd znanych; i dlatego w słabościach gwałtownych, a zwłaszcza chronicznych, jak: zapalenie kiszek, zamulenie żołądka, astma, mocny katar, liszaje, migrena, ból głowy, szkrofuły i t. p., pożądany sprawują skutek.

Wartość pigułek Cauvin w dwóch słowach da się streścić: przywracają one i utrzymują zdrowie. Cena pudełka 2 franki, z metodą użycia w pięciu językach.

Wyszło z druku dziełko pod tytułem: *Odpowiedź na zarzuty względem przeznaczenia Boskiego*, napisane przez Ks. J. Bohomolec S. J, a teraz przejrzane i nanowo do druku podane przez Ks. Maksymiljana Małopolskiego Dominikana P. P. Dziełko to zawiera odpowiedzi na te i tym podobne zarzuty:

Czy miłosierdzie Boskie może się zgodzić z Jego doskonałą wiadomością o zgubie i potępieniu człowieka? Czy Bóg bez naruszenia miłosierdzia swego może stworzyć człowieka, wiedząc przed wieki o jego potępieniu? Dlaczego Bóg stworzył człowieka zgrzeszyć mogącego? Czy może się dziać na świecie, czego Bóg nie chce? Czy przejrzenie Boskie nie jest przeciwne wolności człowieka? Czy dla przejrzenia Boskiego, nie mamy rąk związanych dla obrania złéj lub dobréj drogi? Czy człowiek może podlegać karze, kiedy to czyni, co jest przed wieki ułożone, że czynić powinien? Czy może Bóg karać te stworzenia, które wszystko czynią według wiadomości i ułożenia jego? Czy kara wieczna, którą Bóg karze grzeszników, zgadza się z Jego dobrocią, sprawiedliwością i wszechmocnością? Czy istota skończona wytrzymać może karę nieskończoną? Jak ogień palić może istoty duchowne. Czy to jest artykuł wiary, że ogień materjalny będzie palił duchów? Dlaczego Bóg dopuścił kusić i zwieść Ewę? Dlaczego Bóg stworzył anioła i dopuścił mu kusić Ewę? Czy prawo, które Bóg dał Adamowi, aby się wstrzymał od owocu pewnego, przystało na prawodawcę mądrości nieskończonéj? i t. d. i t. d.

Dziełko to nabyć można u wydawcy w Klasztorze Księży Dominikanów, jako w głównym składzie, tudzież w znaczniejszych Księgarniach w Warszawie i na prowincji, oraz we wszystkich Klasztorach Dominikańskich w Królestwie. Cena egzemplarza złp. 5.



Pani A. K...—Od kupna i przesyłki pigułek pozostało złp. 1 gr. 13.— —Panu T... Czosno. w Rzę...—Tablice alfabetyczne przesłaliśmy, lecz złp. 6 gr. 20 niebyło przy liście.— —Panu M. Ni...—Jak tylko pigułki z Paryża nadejdą, nie omieszkamy je nadesłać.— —Pani Karo. Grzy...—Proszę nam donieść, czy kaftanik syberynowy obłożony ma być barankiem, czy też wyszyty plecionką i perełkami.— —Pani Kazimie. Krzy...—Kapelusze okrągłe tak zwane *polki*, watują się w środku, jakoteż szarfy na uszach. Przez młode osoby ciągle są jeszcze używane mimo chłodnéj pory. Siatka na głowę jedwabna lub sznelowa, jest niezbędną do takich kapeluszy.— —Pani Kata. Le...—W miejsce białych rękawków bardzo używane są z czarnego jedwabnego tiulu z mankietami jedwabnemi, które się garnirują czarną koronką i wyszywają czarnemi perełkami.— —Pani Bro. Wro...—Jedwab jak i bawełnę czarną do haftu trzeba mlékiem gotowaném sparzyć przed użyciem do roboty, żeby w praniu nie zmieniły koloru.— —Pani Ju. Borzę...—Pod kaftaniki zuawskie zarówno używane są kamizelki jak i koszulki kaszmirowe *Garibaldki*.—Pani Wikto. Łuka...—Kołnierz popielicowy odpowiedniejszy będzie do salopy jak piżmowcowy; cena jego złp. 66 gr. 20. Za elkowy płaci się od złp. 166 gr. 20 do 180 złp. W tańszéj cenie bardzo jest jasny i źle wygląda.— —Pani Sabi. Mi. w Ja...—Sprawunki wysłane zostały. Na przesyłkę futra czekamy, wątpimy jednak, aby kołnierz wystarczył na rozszerzenie salopy, bo szerokość wynosić powinna łokci sześć i pół.

Sprostowanie.—W Nrze 44 mylnie wydrukowaną została cena siatki szmuklerskiéj, bo zamiast złp. 26 gr. 20, było złp. 6 gr. 20.

NB. Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, prosimy adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina paryzka z modami.

---

w Drukarni K. Kowalewskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Warszawa d. 10 (22) Listopada 1861 r.



366

Imp. Mariton.

MAGAZYN MÓD

w Warszawie.